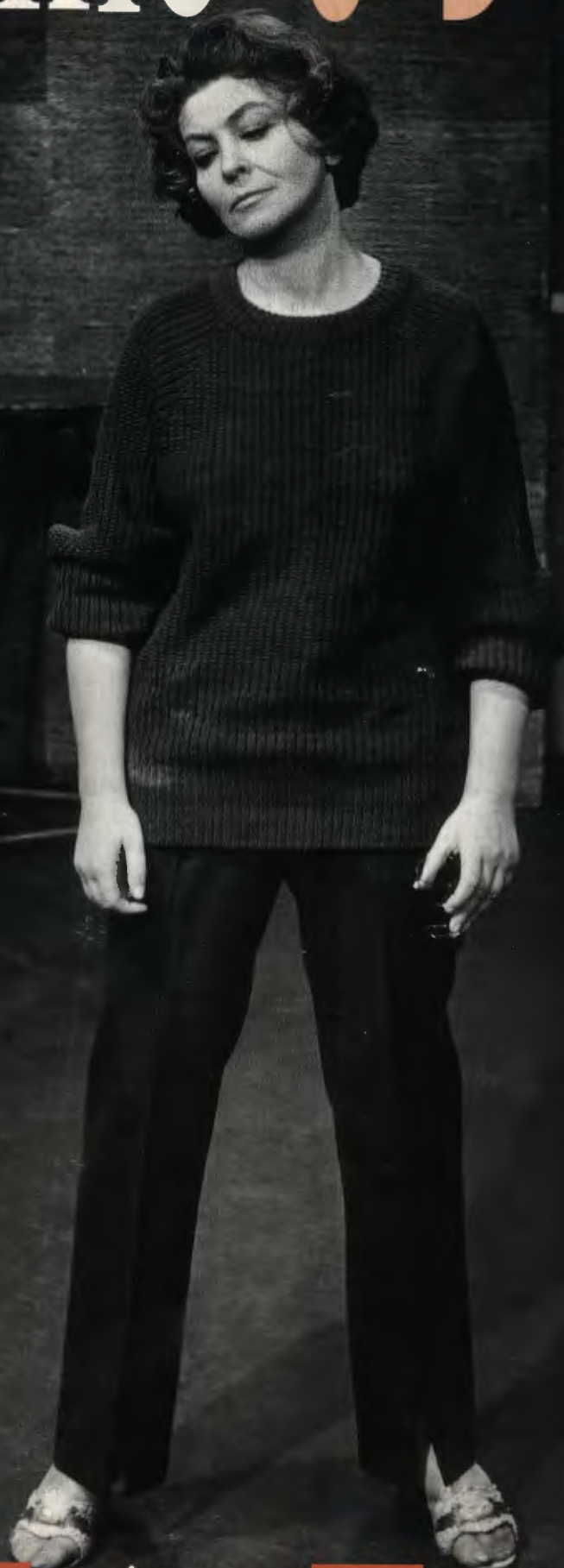


wysokie obcasy

Sobota 6 stycznia 200

Nr 1 (9)

ISSN 1506-9087 Dodatek do Gazety Wyborczej. Sprzedawaj łącznie z Gazetą



Nina
Andrycz

FUTRA

strona 14

STYL ŻYCIA

strona 30

KONSTANCJA MARKIEWICZOWA

strona 38

gazeta

List tygodnia

Popelnilem blad. Ktos kiedyś slusnie powiedzial, ze nie ma powrotu do przeszlosci. Pól roku temu znalazlem w czasie porzadków plik listów sprzed 27 lat od mojej ówczesnej dziewczyny z Warszawy. Odložylem je do spalenia. Nie mam w domu pieca, dlatego postanowilem zaniesc je do kolezanki i spalic u niej w kominku.

Coś mnie podkusiło i szykując te listy do wyniesienia, postanowiłem choć zerknąć do jednego z nich – przypomnieć sobie... I w ten sposób wsiąknęłam zupełnie. Powaliło mnie na kolana. Jak ta dziewczyna, Ewa, mnie kochała! To da się wyczuć z każdego zdania któregokolwiek listu.

Przeczytałem wszystkie i teraz boję się, że trudno będzie mi się z nimi rozstać. Że też musiało mnie podkusić! Ale: „mądry Polak po szkodzie...”; „gdyby młodość wiedziała, a starość mogła...”. Ano właśnie, „gdyby młodość wiedziała – gdybym wiedział to, co teraz wiem, to bym nie zrywał z nią. Teraz czuję, że zaprzepaściłem tę szansę, którą los dał mi 27 lat temu.

Poznałem ją w 1972 roku w Ciechocinku. Miała 17 lat, ja już mężczyzna – 21. Ona – ładna, drobna blondynka. Miała nogę w gipsie – dlatego znalazła się w Ciechocinku. Znajomość trwała rok – byłem z nią naprawdę blisko (jeździłem do niej do Warszawy z Łodzi, gdzie uczyłem się bibliotekarstwa).

Dziwna była ta nasza miłość: w jednym liście złościła się, że jestem zbyt obojętny, w następnym przeproszała za to, co napisała w poprzednim i gorąco zapewniała o swojej miłości. Jakaż ona była cudowna! Tak, tylko, że ja to widzę dopiero teraz. Ale wtedy byłem przytłoczony ogromem jej miłości. Miałem jej dosyć. Wszak łatwo można kota zagłaskać na śmierć.

W końcu nadeszło to, co nieuchronne, przestałem pisać... Ona też... Potem przyszły nowe znajomości, nowe miłości. Ale ta zadra w sercu pozostała.

I żal, niezmierny żal, że tak to się skończyło. Żal uwydatniony przez te nieszczęsne listy, które zachciało mi się jeszcze raz przeczytać. Nie pomyślałem, że pliczek starych listów wywoła tyle zamieszania w moim umyśle.

• Waldemar H. Klimaszuk

Autorowi dzisiejszego listu tygodnia ofiarujemy wodę toaletową Ted Lapidus

Ona to ma

Po lekturze rozmowy Kasi Bielas z Niną Andrycz osaczyła mnie myśl jedna: która z naszych odważnych feministek, bezkompromisowych wojowniczek o niezależność płci niewieściej, umiałaby dzisiaj publicznie z równą klarownością i otwartością rozmawiać o najbardziej intymnych aspektach kobiecej duszy? Czy odwagę taką osiąga się z wiekiem? Czy gotowość do najszczerzych wynurzeń przychodzi wraz z pewnością, że życie nasze nie jest grą rozsypanych paciorków?

Nina Andrycz tę pewność mieć musi: od ponad sześćdziesięciu lat zasiada przed lustrem w tej samej garderobie Teatru Polskiego w Warszawie. Więcej niż pół wieku gra na tej samej scenie, konsekwentnie budując swój wizerunek publiczny, ale i – własny wewnętrzny krajobraz, o czym świadczy jej uprawiana od wielu lat działalność literacka. I pewnie dlatego słowa Niny Andrycz o sobie samej, o kondycji kobiety uwikłanej pomiędzy ambicjami zawodowymi i ludzkimi namiętnościami, brzmią tak bardzo wiarygodnie.

Ale jest jeszcze coś innego, co fascynuje w tym wywiadzie: jak to się dzieje, że osiemdziesięcioletnia kobieta mówi językiem całkowicie współczesnym, rozmawia o sprawach, które są aktualne dla dwudziesto- czy trzydziestolatek? Pamiętam, że podobne pytanie zadawałem sobie, gdy kilkanaście lat temu oglądałem na scenie Teatru Kameralnego w Warszawie Ninę Andrycz w sztuce „Baba dziwo” Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Jej sposób gry wydawał się zrazu nie przystawać do stylistyki lat osiemdziesiątych. Wielka aktorka stworzyła postać kobiety-dyktatora niemal wyłącznie za pomocą gestów dłoni i przedramienia, wyrafinowanej mimiki i wyrazistych spojrzeń.

Tak się już dzisiaj nie gra, a jednak okazało się, że za pomocą „niedzisiejszych” środków wyrazu można zbudować postać równie współczesną, jak metodami studia aktorskiego Lee Strasberga. Po prostu to nie środki, stylistyka ta czy inna, wiek bardziej lub mniej zaawansowany określają to, co mówimy. Ważne jest, co ktoś do powiedzenia ma.



Maciej Nowak



• Z NINĄ ANDRYCZ ROZMAWIA
KATARZYNA BIELAS

Przyszłam z pięknymi „a” i „o”

W Pani autobiograficznej powieści „My rozdwojeni” główna bohaterka, bardzo młoda dziewczyna, przedstawia koleżance „kartę swobód” kobiety: ślub tylko cywilny, małżeństwo bezdzietne, osobne mieszkania, niewtrącanie się męża do spraw zawodowych... Skąd wyniosła Pani takie poglądy?

• Na pewno nie z domu, bo mama była typową kobietą XIX-wieczną, uważała małżeństwo za rzecz niezbędną i świętą. Ja od dziecka kształciłam się w szkołach koedukacyjnych i bardzo szybko zorientowałam się, że ze wszystkich przedmiotów oprócz matematyki jestem lepsza od moich kolegów. Te wyniki pozbawiły mnie poczucia nierówności. Kiedy więc mama mówiła o przeznaczeniu kobiety i o tym, że przede wszystkim powinienam dobrze wyjść za mąż, myślałam w duchu: „Co ona bredzi, ta poczciwa mama?”.

Mama przez dłuższy czas była zależna od swoich mężów, dopiero po latach, może pod moim wpływem, zrozumiała, jak ważna jest niezależność, i przyznała mi rację.

Dlaczego ślub tylko cywilny?

• Bo jeśli traktować małżeństwo jak sakrament, to niestety, ale mąż i żona nie mogą mieć flirtów, romansów. Nie można kpić z sakramentu. Ja byłam za związkiem tolerancyjnym, dopuszczającym jakiś błąd, zdradę którejś ze stron. Mistyk Paul Sédir uważa, że jeśli w małżeństwie mąż zdradza, a kobieta nie, to dla Boga takie małżeństwo się liczy. Ale ja nie chciałam być ofiarą. Zabawne, że kiedy zawierałam mój pierwszy, i jak dołączył jedyne, ślub, mój mąż Józef Cyrankiewicz, który



**Dopóki
mąż bardzo
mnie kochał,
to,
przejeżdżając
koło Teatru
Polskiego,
zdejmował
kapelusz.
„Oto
mój rywal
najgroźniejszy”
– mówił**

FOT. ANNA LEWANDOWICZ

N I N A A N



DRYCZ

był człowiekiem niewierzącym, ale pełnym uwagi dla moich poglądów, powiedział: „Jeśli sobie życzysz, możemy wziąć ślub kościelny”. A naraziłby się tym w partii nieprawdopodobnie! Bardzo to zaimponowało i mnie, i mamie, ale ja tego nie żądałam.

Po co wychodzić za męża, jeśli ma się oddzielnie mieszkać?

• Ja to wszystko wymyśliłam jeszcze w szkole, nie znając życia. Byłam zbyt młoda, żeby wiedzieć, że jeśli mężczyzna mnie poślubia, to m.in. po to, żeby móc na mnie popatrzeć w różnych sytuacjach, także w szlafroku, czuć zapach ciała... Ten postulat był dziecinny. Wycofałam się z niego jednak dopiero wychodząc za męża. Przedtem zamęczałam moich narzeczonych, a ponieważ byłam samodzielna i zarabiałam na siebie, nic mi nie mogli zrobić.

Po ślubie zgodziłam się na wspólne mieszkanie, ale musiały być w nim oddzielne sypialnie, żeby można było się na jakiś czas rozstać.

Niewtrącanie w sprawy zawodowe jest bardziej oczywiste.

• Zostało dotrzymane. Dopóki mąż bardzo mnie kochał, to, przejeżdżając koło Teatru Polskiego, zdejmował kapelusz. „Oto mój rywal najgroźniejszy” – mówił. Przez te kilka lat znosił rywala, potem zaczęło mu to doskwierać.

Przy takich poglądach po co w ogóle ślub cywilny, nie wystarczy związek na kocia łapę?

• Po to, żeby odciąć się jednak od kocich łap – związków naprawdę bez żadnego zaangażowania. Jeśli zawieram ślub cywilny – to jednak miasto wie, że wyszłam za męża za pana X. To ważne, szczególnie że nie przyjmowałam nazwiska swojego mężczyzny, który mnie adorował, chciał gwałtownie się ze mną żenić – oraz mnie zapłodnić. Do końca zostałam jednak Niną Andrycz, dodawałam tylko, rzecz jasna, Cyrankiewiczowa. Najbardziej odcierpiał to korpus dyplomatyczny. Szef protokołu pytał, czy ja zdaję sobie sprawę, że robię przykrość mężowi nie stając się M-me Józef Cyrankiewicz.

Jak to M-me Józef?

• No tak. To są formułki międzynarodowe. Jeśli kobieta z dobrego domu poślubia mężczyznę, który jest znanym politykiem, to od tej pory staje się – w moim wypadku – Panią Józef Cyrankiewicz, czyli kobietą Józefa Cyrankiewicza. Jak mi Bóg miły! Do tej pory mam wizytówki, które mi wydrukowali w 1947 roku, sto wizytówek. Co z tego, że to było za PRL-u – jak bywałam w salonach na świecie, to mówiło się „ma femme”, moja kobieta. Francuzi mówią o kobiecie jak o przedmiocie i to jest w dobrym tonie.

Czyli – zbuntowała się Pani.

• Powiedziałam do szefa protokołu: „Jestem znaną aktorką, nazywam się Nina Andrycz, jeśli pan chce, po-

stawię kreseczkę po Andrycz i dodam Cyrankiewicz. I wystarczy”.

Protokół musiał mnie usłuchać. Mąż udawał, że nic go nie obchodzi te jakieś burżuazyjne komedie, ale czy naprawdę go nie obchodziły?

Mój feminizm nigdy nie polegał na głoszeniu haseł. Prawdziwy feminizm to rozwój samoświadomości, zdanie sobie sprawy z tego, kim się jest, że nie żyje się po to, aby poślubić pana X, tylko po to, żeby samodzielnie czegoś dokonać. Wtedy ma się prawo powiedzieć do szefa protokołu – ja nie chcę takiej wizytówki. Uważam, że obroniłam moje poglądy.

Różne kołtunki myślą, że z tego powodu spotkało mnie jakieś nieszczęście. Nic podobnego! A jesteśmy nieodrodnymi dziećmi pani Dulskiej, czy to w komunizmie, czy superkatolicyzmie.

Od kołtunek mogło się Pani dostać za bezdzietność.

• I to jak! No cóż. Nie czułam się powołana do rodzenia dzieci i wiedziałam to od zawsze, nie miałam instynktu macierzyńskiego. A gdybym urodziła dziecko nienormalne? Albo zupełnie niezdolne? Przerażało mnie to. Miałam zawsze wstręt do ciąży, za to jako aktorka bez przerwy rozmnażałam się psychicznie. Bo – jak mówi bohaterka mojej sztuki „Lustro”: „Kiedy jest się naprawdę gwiazdą, to nie rodzi się dzieci, rodzi się role”. Kiedy urodziłam Marię Stuart, byłam tak zmęczona, że chyba poród fizyczny tyle by mnie nie kosztował. Role to są moje córki – piękne, szalone, mądre, głupie, różne. Ja ciągle czułam się jak w ciąży, więc jak mama powiedziała mi: „Ty tylko urodź, ja wychowam, wszystkim się zajmę od pierwszych dni”, odpowiedziałam: „Przecież ja bez przerwy rodzę”. Mama spojrzała na mnie jak na osobę zdecydowanie pomyloną. Trudno o tym mówić, bo to śliski temat w katolickim kraju.

Owszem, czasem dokuczano mi. Ale znów obroniłam swoje poglądy i dobrze mi z tym. Nie budzę się w nocy z myślą, że dobrze byłoby, gdyby tu kwiliło jakieś niemowlę albo jakiś nastolatek mi współczuł. Chyba w ogóle by mi nie współczuł, od tego się zaczyna, bo byłby z innej generacji.

Ale wojny staczałam wielkie, nie tylko z mamą, potem mąż najwyraźniej też zaczął cierpieć z tego powodu, bo jednak chciał zbudować ze mną prawdziwy dom. A jeszcze wcześniej narzeczeni robili straszne awantury. W tej chwili już na szczęście nie zachodzę w ciążę. Problem się zdezaktualizował. Ważne, że nie żałuję niczego – jak śpiewała Edith Piaf.

A jednak napisała Pani wiersz do córki nie urodzonej.

• Czyli tej usuniętej, w sensie katolickim zabitej. Jeżeli oni mają rację i ona cierpi, no to ją szczerze przepraszam. Na to mnie stać.

Dlaczego pisała Pani do córki, nie do syna?

• Bo mi się zdawało, że to była córka.

Od lewej:
 Mariana Pineda
 w dramacie
 Federica Garcii
 Lorki.
 Teatr Polski,
 1962 r.
 Joanna w „Świętej
 Joannie” George’a
 Bernarda Shawa.
 Teatr Polski,
 1955 r.
 Szimena
 w „Cydzie”
 Pierre’a Corneille’a.
 Teatr Polski,
 1954 r.
 Abba Putnam
 w „Pożądaniu
 w cieniu więzów”.
 Eugene’a O’Neilla,
 Teatr Polski,
 1961 r.





Czytając wiersze, można pomyśleć, że to metafora, dziecko, na które jest za późno.

• Żadna metafora. Jak się robi zabieg, to się przecież zabija to żyjątko. Ja zdawałam sobie sprawę, że robię coś groźnego. Feministki mówią: „Odczepcie się! To moja macica...”. Owszem, moja, ale co z tego? Skoro w macicy jest życie, a ja je niszczę.

Poza tym, jeśli widzi się zrozpaczonego męża, to jednak się człowiek zastanawia. Kiedy parę razy wykrzyknęłam: „Bogu dzięki, poroniłam!”, on pewnie pomyślał: „Poślubiłem potwora”. Przypuszczam, że w ten sposób zabiłam w nim uczucie. I dlatego, jak wychodził z domu, nie usłyszał ode mnie słowa sprzeciwu, żadnych wymówek.

Pani wspomnieniowa książka dotyczy okresu międzywojennego w Polsce, startu w zawodzie. Ale dzieciństwo, znaczące lata 1917 – 1927, spędziła Pani w Kijowie. Skąd się Pani tam wzięła?

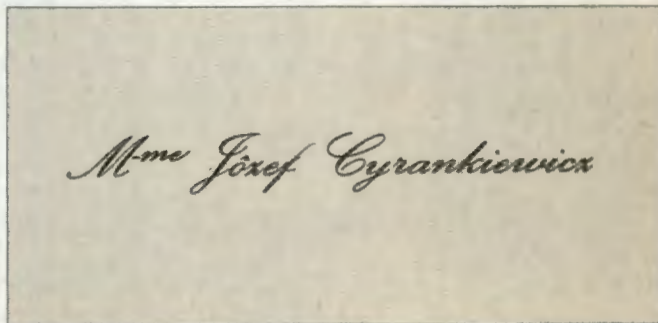
• Nie chcę się o tym rozwodzić, bo piszę drugą książkę. Ale to było tak: jako dziecko potwornie się darłam. Moją piękną matkę strasznie tym rykiem znudziłam, więc spakowała dwie walizki i pojechałyśmy do bardzo zamożnych krewnych do Kijowa. A było to za czasów imperium rosyjskiego, Anno Domini 1917, i jak tylko przyjechałyśmy, to od razu wybuchła rewolucja pa-

dziernikowa. Polska była oczywiście wielkim wrogiem, krajem burżuazyjnym, więc zamknięto szczelnie granice i zostałyśmy tam na dziesięć lat. Zamożni krewni z dnia na dzień zamienili się w żebraków, ale mama pokazała charakter, który pewnie po niej dziedziczę. Mama, jak przystało na osobę, która skończyła instytut dla szlachetnie urodzonych dziewczyc, znała trzy języki, więc w tym oszalałym państwie, które założyło swoje pierwsze urzędy, okazała się potrzebna jako tłumaczka. Dzięki tej pracy wykarmiła swoje nieszczęsne dziecko, które na obczyźnie już trochę mniej wrzeszczało.

Co Pani pamięta z rewolucji?

• Pamiętam miasto, które przechodziło z rąk do rąk, raz byli w nim czerwoni, raz biali. Na placu odbywały się egzekucje, których oczywiście nie oglądałyśmy. Na całe życie zapamiętałam jednak krew na śniegu. Bandy grabiły domy, przyszli też do nas. Bałyśmy się z mamą piekielnie. Pamiętam, jak mama, która była jeszcze młoda i bardzo ładna, poprosiła jednego

Nina Andrycz
i Józef Cyrankiewicz
na balu, 1955 r.



FOT. ADMICAF

z bandziorów, żeby nie zabierał jej zegarka, pamiątki po mężu, który jest w Polsce. I ten bandzior zabrał jakąś szubę, palto, a zegarek zostawił.

Zapisano mnie do sowieckiej podstawówki. Z początku językiem wykładowym był rosyjski. Po polsku mówiło się tylko w domu, po kryjomu – za chwilę wybuchła przecież wojna z wrogią Polską. W tej szkole zaczęłam występować. Mówiąc wiersze, zdałam sobie sprawę, że mam pewną władzę nad rówieśnikami, że nikt się nie wierci, nie gwizdże, że mnie słuchają. Pomyślałam, że jestem niezwykłą istotą i że trzeba wyciągnąć z tego wnioski. Zauważyłam też, że jak występowałam, to byłam lepiej traktowana, dostawałam lepszy „pajok” na drugie śniadanie.

Nie chcę naginać faktów, ale wiem, że już wtedy zrozumiałam, że będę aktorką. To mnie też trochę wyrwało z tej szarzyzny, z tego głodu, nędzy, strachu, rozstrzelowań. Bo wojna domowa to jest głód i strach. Ale głodujący mieli dwa abonamenty – jeden do przewspaniałej opery, drugi do przewspaniałego teatru dramatycznego. Jako dziewczynka widziałam wszystkie piękne spektakle – Fausta, Dostojewskiego – połowy wtedy nie rozumiałam, ale i tak bardzo mi się spodobało.

Mama zapisała mnie na potajemne lekcje religii, zarówno ona, jak i ksiądz ryzykowali życie. Któregoś dnia polityruk wezwał matkę na rozmowę: „Pani dziecko jest chyba nienormalne, bo chodzi do katedry”. A mama na to: „Co mam zrobić? Taka już się urodziła”. On pyta: „Czy ona wierzy?”, a mama kiwa głową z troską: „Mam takie wrażenie”. Polityruk: „To ja z nią porozmawiam”. Na to mama, która знаła mój charakter: „A proszę bardzo”.

To były piękne rozmowy, miałam chyba osiem lat. Powiedziałam, że wiem, że Pan Bóg istnieje, bo ja to czuję. Nic mi nie mogli zrobić, bo byłam za mała.

Potem, kiedy Ukraina zaczęła podnosić głowę, wycofali ze szkoły rosyjski i jako wykładowy dali ukraiński. W ten sposób, oprócz francuskiego i niemieckiego, znam jeszcze dwa języki słowiańskie. Mogę mówić wiersze po ukraińsku.

Jak się stamtąd wydostałyście?

• Nasz biedny tata odszukał nas przez mojego wuja Czesława Andrycza. Wuj pracował w MSZ już za marszałka Piłsudskiego. Dla mamy Piłsudski był bohaterem nad bohaterem. Jeszcze w Kijowie nauczyłam się, że co jak co, ale marszałek to się Polsce udał.

A więc, tata nas znalazł i zaczął się starać o nasz powrót. Przyjechaliśmy do Polski legalnie, pociągiem, po dziesięciu latach w Związku Sowieckim. To był ostatni moment, żeby się stamtąd wyrwać. Tam się już zaczął stalinizm.

Pamiętam, jak kiedyś w momencie chwilowego poluzowania, na targu w Kijowie pojawiły się ciastka. Nigdy nie zapomnę smaku tamtej napoleonki. Jedząc, zaczęłam płakać z zachwytu, że coś takiego, graniczącego z poezją, może w ogóle istnieć na świecie. Wróciliśmy do Polski, do Brześcia nad Bugiem, gdzie mama

miała własny dom z pięknym ogrodem. Wróciliśmy do względnego dobrobytu.

Co Pani mama na to, że chciała Pani zostać aktorką?

• Powiedziała: „Po moim trupie”. I w tym trupie wytrzymała aż do mojej matury. Ale ja pojechałam do Warszawy na egzamin do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej i zdałam bez żadnych zastrzeżeń. Miałam tylko straszny kresowy zaśpiew, bo to i kresy, i Kijów. Przez dwa lata, dopóki dawałam radę fizycznie, studiowałam jednocześnie psychologię i filozofię na uniwersytecie.

To charakterystyczne „I” nie jest wyuczone w teatrze?

• Skąd! To z kresów, my wszyscy stamtąd mówimy piękną polszczyzną, ja przyszłam z pięknymi „a” i „o”, które rozświetlają naszą szeleszczącą mowę. W szkole pracowałam tylko nad tym, żeby pozbyć się zbyt miękkiego akcentu.

Czyli pięknie wypowiadać słowa. W swoich wierszach akcentuje Pani wagę słowa, cytuje filozofa: „słowo jest domem bytu”. To ważny wątek Pani twórczości.

• Byłam chowana na literaturze, nie na obrazkach. Polska literatura romantyczna pochłonęła mnie całkowicie, dlatego Powstanie Warszawskie przeżywałam – wbrew rozumowi – jako rzecz ważną i potrzebną. To był romantyzm, sami walczymy o miasto, bo niestety nikt naprawdę nie pomógł.

Co Pani robiła podczas wojny, bez teatru, jako kelnerka...

• Byłam w Warszawie, getto się przy mnie spaliło, potem wybuchło Powstanie... Wszystko straciliśmy. Przywoita pokojówka zatrzymała kupeczkę biżuterii i oddała po wojnie. Byli wtedy wspaniali ludzie.

Jak sobie pomyślę o chłopakach z AK, to tylko klękać i całować ślady nóg na podłodze. Cieszę się, że się im podobałam, że byłam ich muzą. Mówili: „Dopóki Andryczka się maluje, nos pudruje, to my nie możemy przegrać”. Niestety przegrali.

Potem zaczęła się druga okupacja, o wiele perfidniejsza od pierwszej. W pierwszej walczyło się o przeżycie fizyczne, okupanci często byli naiwni, np. brali łapówki, niejednego więźnia się wykupiło. Ci drudzy natomiast uświadamiali gorliwie i łapówek nie brali, wódki mieli tyle, że nie był to żaden argument w pertraktacjach.

Bardzo ciężko było podczas wojny, ale to wojnie zawdzięczam wolność wewnętrzną i dojrzałość.

Wolność?

• Tak. Od teatru. Tak naprawdę to był niewąski zamysł losu, jeśli chodzi o moją skromną osobę.

Kiedy mi odebrano teatr, uwolniłam się od zanarkotyzowania zawodem. Przedtem tańczyłam na palcach przed teatrem – byłam chowana na zastępczynię wielkiej aktorki, pani Marii Przybyłko-Potockiej, dostałam propozycję wyjazdu w szeroki świat... Miałam niewie-

Kiedy mi odebrano teatr, uwolniłam się od zanarkotyzowania zawodem. Przedtem tańczyłam na palcach przed teatrem – byłam chowana na zastępczynię wielkiej aktorki, pani Marii Przybyłko-Potockiej, dostałam propozycję wyjazdu w szeroki świat... Miałam niewiele po dwudziestce i ten garb na karku, przygniatała mnie potworna odpowiedzialność

le po dwadzieście i ten garb na karku, przygniatała mnie potworna odpowiedzialność.

W teatrze jest przekleństwo „Bodajbyś z tacą chodził”, nie wolno brać tacy do ręki, bo to wroży nieszczęście. A ja jako kelnerka z tą tacą chodziłam. I nic złego się nie stało. W dodatku do kawiarni jako pierwszy klient wszedł Niemiec. Cofnęłam się razem z tacą, ale miałam tak rycerskich kolegów, że powiedzieli: „Idź do toalety, my mu podamy”.

Wojna była dzika i okrutna, ale uwolniła mnie od bycia zwierzęciem teatralnym, chowanym tylko do przekskiwania kolejnych porzeczek.

Nie brakowało Pani grania, sztuki?

• Zaczęłam pisać. Wiersze i pamiętnik pisałam od dzieciństwa, jeszcze w Kijowie. Wyciągnęłam te zapiski, stwierdziłam, że nie są takie złe, zaczęłam wygładzać, zmieniać. Miałam pełne ręce roboty. Wszystkie męki wojny znosiłam z godnością, bo miałam nowy zawód. Dalej prowadziłam pamiętnik, żeby zapisać, co działo się podczas okupacji. A także – co ważne – zrozumieć, dlaczego nie umieram bez teatru. Ja, aktorka pur sens, chowana na super-, hipergwiazdę. Kiedy kończyła się wojna, byłam już, choć jeszcze w tajemnicy, poetką i pisarką. Wojnie zawdzięczam, że stałam się człowiekiem myślącym.

Co to oznaczało dla teatru?

• Nie przestałam kochać sztuki. Ja ją dalej kochałam, ale inaczej, trzeźwiej, mądrzej i z poczuciem dystansu. Wiedziałam, że aby olśnić tłum, nie zrobię tego, co kobieta o bardzo wysokim ilorazie inteligencji – Sharon Stone, która w „Nagim instynkcie” usiadła na krześle i pokazała dziureczkę. Nastąpił niesamowity aplauz i zwiększenie gaży, tak jakby tej dziureczki przedtem nikt nie widział.

A przed przemianą duchową byłaby Pani na to gotowa?

• Raczej nie. Jednakże byłam chowana w ten sposób, że jak dla dobra sprawy trzeba się rozebrać, to trzeba. Najciekawsze, że moja mama, która tak się bała tego teatru, po wojnie poganiała mnie: „Wracaj na scenę, nad czym ty myślisz, niczego nie robisz, twoje koleżanki już recytują wiersze na akademiach. Co z tego, że tylko Majakowskiego? To jest trening. A ty nie trenujesz, głos stracisz”. Trudno uwierzyć – mama połknęła bakcyła teatru. Nawet najgorszy menedżer był dla niej dobry i tylko sukces, sukces, sukces. Sukces przyszedł z lekkim opóźnieniem, ale przyszedł.

Podchodzi Pani do ról bardzo poważnie. Czy teatr może mieć wpływ na zachowanie, na życie człowieka?

• Jako dziewczynka mało rozumiałam z tego, co przeżywa student Raskolnikow, ale wiedziałam, że się zmagają z czymś ważnym, że Sonia go kocha i mu pomoże. Jeśli ja tak to przeżyłam w wieku dziewięciu lat, to dlaczego teraz ja swoimi rolami nie mogę na kogoś wpły-

nąć? Pokazuję np., że nie należy być tak ambitnym jak Lady Makbet, bo się przegra. Mogła poprzestać na tym, że jest panią pięknego zamku i pierwszą damą swego kraju, bardzo kochaną przez króla. A jak zamorduje króla, to będzie tylko pospolitą zbrodniarką. Nie chwając się, wychowałam trzy pokolenia. Wiem to od widzów.

Aktorstwo jest misją, pięknie to robi Andrzej Seweryn, on jest misjonarzem urodzonym. A to przybliży „Dziady” Francuzom, a to czyta polskie wiersze. I to jest przyszłość aktorstwa, żeby nie zamykać się w profesjona-



Uroczystości jubileuszowe z okazji 65-lecia pracy artystycznej. Nina Andrycz obok zdjęcia aktora i reżysera Aleksandra Węgierki. Teatr Wielki, grudzień 2000 r.

lizmie, że stąd dotąd, bo ja mam etat. Przecież etat można zawsze stracić.

Moja publiczność to ktoś, z kim chciałabym nawiązać dialog, ale jeśli trafi się tępak, to też o niego walczyć. Przynajmniej przez pewien czas. Kiedy życie zmusiło mnie do wystąpienia przed tzw. masówką, nie cofnęłam się. To był wsiowy kolchoz pod Warszawą. Grałiśmy historię o Marynie Mniszech i Samozwańcu, scenę przy fontannie. Mój partner, już nieżyjący Michał Pawlicki, powiedział, że nie wyjdzie na scenę, bo nikt nic nie zrozumie. Więc ja wyszłam i wytłumaczyłam publiczności, o co chodzi w sztuce. Opowiedziałam, że Maryna to była taka dumna Polka, która jak już została żoną tego Samozwańca, to zamieszkała na Kremlu i ogłosiła skarbiec. Pani złota, jaka radość zaplanowała, że ona pozabierała klejnoty, jaka mądra ko-

FOT. JACEK PIOTROWSKI

bieta! Słuchali potem jak anioły. Klaskali i nawet zarzęli dla mnie wieprzka. Nie jadam wieprzowiny, ale wypilam wódkę z szefem kołchozu. To wykonałam. Taką publiczność zdarzyła mi się może dwa, trzy razy w życiu.

Czasem nawet w autobusie zdarzają się piękne spotkania. Np. wstaje starsza pani, otwiera szeroko ramiona, całuje mnie w oba policzki i mówi „Solange”. Dla pozostałych pasażerów to nic nie znaczy, ale my wiemy. Piszą do mnie moi wychowankowie z małych miasteczek, wiem, że kilka kobiet wyrwałam z kuchennej niewoli. Pod tym względem najbardziej terapeutyczna była Lady Makbet.

Były też różne role telewizyjne, stawiające pytanie, czy warto poświęcić życie dla wielkiej, szalonej miłości... Usiłowałam bronić takich kobiet, bo sama mam słabość dla takiej miłości. Do tej pory ludzie piszą do mnie w tej sprawie.

No właśnie, czy gdyby nie Pani wielka, niespełniona miłość z młodości do znanego reżysera i aktora Pani role byłyby uboższe?

• Oczywiście. Takie doświadczenia dają materiał, grunt, fundament tzw. heroinom romantycznym, czyli postaciom oszalałym z miłości. W piosence kabaretowej śpiewa się: „Nie będziesz ty, to będzie inna”. I są kobiety, które też tak myślą, naśladowując mężczyzn. Ale w moim przypadku wiadomo było, że nie będzie innego, każdy inny będzie, no właśnie, będzie tylko inny...

Nigdy nie powtórzyło się tak wielkie uczucie?

• Nigdy. To był mój nauczyciel zawodu, przyjaciel, sporo ode mnie starszy. Jego portret do dziś wisi w moim pokoju. Nasza miłość nie mogła się spełnić. Obiecałam jego żonie, wspaniałej scenografce, że nie rozbiję ich małżeństwa. Obietnicy dotrzymałam.


Potem były rozmaite fascynacje fizyczne, umysłowe, ho, ho, jaki on jest miły, dobry dla mnie, jak mnie kocha, zasługuje na wzajemność. Ale to nie to samo.

Zawsze powtarza Pani, że obiecała mężowi, że nie będzie o nim opowiadać.

Co się kryje pod tym tabu?

• Łatwo zgadnąć. W 1947 roku, kiedy się pobraliśmy, mąż był liderem samodzielnej Polskiej Partii Socjalistycznej. Stalin mu obiecał, że PPS-u nie ruszy, bo to rdzennie socjalistyczna partia. Jakże to? Wódz wszechświatowego proletariatu ma likwidować socjalistów? Niby dlaczego? Ale mąż w pewnym momencie wyczuł, że to kłamstwo. Strasznie to przeżywał. Powiedziałam mu wtedy: „Chcesz wyskoczyć przez okno, dobrze, popchnę cię, ale cała PPS nie wyskoczy, jesteś odpowiedzialny za kilkuset ludzi”.

Poprosił mnie, że gdyby zgłosił się do mnie „Life” czy inny „Match”, to żebym na ten temat nic nie mówiła. A więc owym tabu są jego przeżycia po likwidacji PPS. Przecież on już nie żyje i nie może niczego wyjaśniać.



Piszą do mnie moi wychowankowie z małych miasteczek, wiem, że kilka kobiet wyrwałam z kuchennej niewoli. Pod tym względem najbardziej terapeutyczna była Lady Makbet

Wiele lat była Pani premierową. Jakie wnioski wyciągnęła Pani dla siebie z bycia w świecie polityki?

• Że nie chciałabym tam trafić po raz drugi. Kiedy skończyło się bywanie w salonach politycznych, poczułam się wyzwolona.

Co było najbardziej męczące?

• Obluda, nieprawda, gadki o urojonej rzeczywistości.

Jaką psychiczną politykę stosowała Pani, by to wytrzymać?

• Unikałam jak mogłam bywania, zawsze – chytrze – miałam premierę, próbę generalną albo przymiarę kostiumu. Po prostu migalam się. Pojechałam tylko do tych krajów, które mnie interesowały – Indie, Chiny, Ceylon... Czasem bardzo się przydawałam, np. w Kambodży na dworze królewskim rozmawiano tylko po francusku. Mówiłam za męża i za siebie, bo on znał tylko niemiecki. Zawsze ratował mnie teatr. Zresztą, teraz też chroni. Kiedy Szyfman przysłał depeszę do Chin: „Proszę wracać, nikt nie chodzi na dublerkę”, wyraziłam przy kolacji tak dziką radość, że nasza delegacja osłupiała. Myśleli, że się tak cieszę z prezentów od Mao Tse-tunga. Józef strasznie się śmiał, nie pogniwał się.

Ze wstrętem opowiada Pani o Sowietach, o komunizmie. Czy nie przeszkadzało Pani bycie żoną premiera w tym ustroju?

Poślubiłam bardzo płęknego, szczupłego człowieka, który na molch oczach roztył się, bo chiał, bo mężczyzna w ten sposób pomaga sobie na rozpacz

• Jak to nie przeszkadzało?! Mój brat zginął w łagrze! Poszukiwaliśmy go, kłamali nam, że wszelki ślad po nim zaginął. Mój mąż był ofiarą tej polityki.

Jak już mówiłam, wysłałam za męża za lidera niezależnego PPS-u. A potem zobaczyłam, jak jest ukatowany przez swoich towarzyszy, przecież oni z niego galaretę zrobili. Poślubiłam bardzo pięknego, szczupłego człowieka, który na moich oczach roztył się, bo chiał, bo mężczyzna w ten sposób pomaga sobie na rozpacz. Przecież on umarł na jakąś chorobę mózgową, tak to wszystko odcierpiał. Nie traktuję go jako osoby rządzącej, tylko jako ofiarę Stalina. Wystarczy przeczytać, jak cudownie opisuje go Jan Karski.

Po raz drugi wysłałabym za niego. Mam poglądy raczej lewicowe. Mogłabym wyjść właśnie za lewicowca, bo ta doktryna pozwala kobiecie pracować. A ja musiałam i chciałam grać.

Skoro tak, to nie mogliście się jakoś wycofać?

• Polityk może wycofać się tylko w śmierć. Mówiłam już, że mąż parę razy zastanawiał się nad tym. On nie ponosi żadnej winy.

Co mógł zrobić? No, jeszcze mógł uciec za granicę, pokrewna partia proponowała mu to, ale ja powiedziałam, że nie wyjadę, bo nie umiem grać w innym języku. Nie każdy jest Nabokowem. Mnie emigracja by wykończyła.



„Prawdziwy feminizm to rozwój samoświadomości, zdanie sobie sprawy z tego, kim się jest, że nie żyje się po to, aby poślubić pana X, tylko po to, żeby samodzielnie czegoś dokonać”

Czy jako aktorce bycie premierową coś Pani ułatwiło?

• To budziło zoologicznie dziką zawiść! Małżeństwu zawdzięczam utrudnienia, ale to też nie była wina męża.

Jest pani teraz w mojej codzienności: połowa rzeczy w tym pokoju, dywan, komódki, jest podarowana, biurko mam po dziadku. Mieszkam w trzech pokojach, bardzo skromnie urządzonych, w sypialni mebelki firmy Ład kupione za grosze. Mój mąż się zachwycał, że ja jestem tak blisko żłobu, a nic nie kupuję.

To efekt dzieciństwa spędzonego w Rosji sowieckiej. Ja wiem, jakie majątki potrafią jednego dnia runąć, bo się pali miasto. Moje miasto też się na moich oczach spaliło. Powiedziałam do męża: „Słuchaj, będziemy się meblować tak, jakby się to nazajutrz miało skończyć... Żeby można było wyjść spokojnie z mieszkania”. Już tyle razy wychodziłam...

Wielokrotnie proponowano nam willę. „Po co?” – zapytałam. „Żeby państwa lepiej chronić”, „Nas nie trzeba chronić, nas nikt nie ruszy” – odrzekłam z przekonaniem.

Do dziś mieszkam w kwaterunku, w tym samym miejscu od 1949 roku. Nie wykupiłam mieszkania na własność. A teraz, po latach, znalazła się właścicielka kamienicy...